

ROMANS I POWIEŚĆ

Tygodnik, poświęcony literaturze nadobnej
i wiadomościom literackim.

Rok I.

Warszawa, dnia 22 maja 1909 r.

№ 21.

Wacław Gąsiorowski.

EMILIA PLATER.

10

Powieść historyczna.

Krzepił się tem przeświadczeniem Juliusz, lecz pierwszy dzień zeszedł, a na upragnionego domownika nie natrafił. Dwóch pokojowców zaglądało doń co chwila, bacząc na każdą potrzebę,—marszałek dworu dwa razy w imieniu pani podkomorzynny pytał go o zdrowie i rozkazom się polecał, stara Kiermuszyńska była z ziółkami i pomagała cyrulikowi pijawki na ramieniu stawić, wszyscy do zbytku, za byle słowem, prawili, a przecież Juliusz ani jedną wiadomością się nie zbogacił.

I drugiego dnia nie powiodło się lepiej Gruzewskiemu, i trzeci dzień na mitrędze zeszedł. Juliusza nuda i rozdrażnienie opanowało. Cała choroba polegała na tem już, że ubrania wdziać nie mógł, bo mu ramię za byle poruszeniem dokuczało piekielnie. Stąd, gdy nadobitek cyrulik zapowiedział mu pod wieczór jeszcze najmniej drugą trzydniówkę, powstrzymać się nie mógł i zaklął siarczyście po litewsku, będąc przekonanym, że nikt, krom własnego jego sługi, Stałgajtysa, nie zrozumie go.

Tymczasem ledwie przekleństwa dokończył, gdy stara Kiermuszyńska pisnęła mu w odpowiedzi.

— *Antamžu amženuju!*

Gruzewski zawstydził się. Lecz stara sługa pośpieszyła sama go dobyć z kłopotu.

— Uch, de wielmożny panicz musi takż szawelski! Uch, ani się spodziała!

— A, więc wy aż z pod Szawli!—ozwał się Juliusz, rozumiejąc, że wypada mu babę sobie zjednać, aby nie wygadała popełnionej przezeń nieprzystojności.

— De jakże, wielmożny paniczu! Po prawdzie w Kiermuszynie się urodziwszy, lecz mój nieboszczyk w Ligumach, pod Mieszkućciami, kluczjótował u Świętej Trójcy!

— I umarł wam!—dorzucił nie dbale Juliusz, ani się spodziewając, jak niewyczerpanego dla Kiermuszyńskiej dotknął przedmiotu.

Baba teraz jednym tchem jęła rozpowiadać Gruzewskiemu dzieje swego zamążpójścia i śmierci niespodziewanej męża. A że wspomnienia niesornie jej się układały, więc raz po raz od chwili zgonu wracała do zrękwoin i od pogrzebu do wesela.

Powoli z komnatki wysunął się i cyrulik, i pokojowiec pałacowy, i Stałgajtys, a Kiermuszyńska jeszcze prawila.

Lecz Juliusz teraz zaczął się na babę—i gdy ta znów zakończyła smętnie „i tak zasnął, ani piersiczkami poruszywszy“, wtrącił przemyślnie:

— Bardzo smutne zdarzenie, ale bo nic nie mówicie, jak z Ligum dostaliście się do Likсны.

— De przecież, wielmożny paniczu, w Imbrodach u państwa sędziów dwadzieścia roków służyła.

— W Imbrodach... aha, w Imbrodach dwadzieścia.

— De jakże, matka panny grafianki przy mnie się urodziwszy.

— A, teraz rozumiem, więc wy piastowaliście i pannę grafiankę.

— De któżby, wielmożny paniczu, któżby robaczka...

— I cóż, da Bóg, a nowego pokolenia doczekacie. Taka panna, nie długo jej wyglądać kawalera...

— Złote słowa, paniczu do brodzieju. Gdzie takiej szukać drugiej! I uroda piękna, i serce, i bogactwo, że nie policzysz. Po pani matce grafianie wzięła raz, po grafach z Antuzowa weźmie drugi, bo dzieci nie mają, a pannę grafiankę strach, jak miłują, i po pani podkomorzynnie weźmie trzeci. Może na świecie niema bogatszej. A jeszcze wszystko, co chcieć, potrafi... nawet największego świętego wymalować, nawet na chórze w ko-

ściele zaśpiewać. A co dobroć, to sama z niej idzie...

Juliusz westchnął mimowolnie.

— Eh i cóż! Niejeden pewnie już parol zagiął i zajeżdża.

— De przecież, de jakżeby inaczej!

— Może nawet deklarował się niejeden.

— Co dobre, każdy polubiwszy.

— Bez wątpienia, mówiono nawet o jednym oficerze.

— Chyba generale!—poprawiła Kiermuszyńska.

— A więc generał stara się o rękę panny grafińskiej?

— De cóż, choćby największym o co. Ale na teraz daleko jeszcze, bo żałoba po matce panny grafińskiej.

— Po matce—powtórzył Juliusz szukając wyrazu, któryby mówność Kiermuszyńskiej mógł podnieść.— A pan graf ojciec?..

Kiermuszyńska, na te słowa lysnęła podejrziwie oczyma.

— Pan graf!—bąknęła z roz-targnieniem.— Pan graf... ale muszę na pokoje wracać, pani podkomorzyna czeka na mnie.

— Zatrzymajcie się, bo...

— A nie, i nie mogę, proszę paniczka, pora mi.

Grużewski nie śmiał nalegać, aby zbytnią ciekawością nie płoszyć starej piastunki. Komitywę nawiązał i dowiedział się, jak na pierwszy raz, nadto wiele. Druga pogawędka niezawodnie będzie głośniejsza.

Ale i ta kalkulacja nie dopisała Juliuszowi. Kiermuszyńska od tej rozmowy jakby ogłuchła raptem, jakby nie dosłyszała odezwań litewskich. Na zwrócone do niej zapytania odpowiadała nic nieznaczącymi półsłówkami. Nawet dla apostrofy do męża kluczwójta nie miała łaskawszego wyrazu.

Tymczasem, ku wielkiej ucie-sze Grużewskiego, słuczony ramię wydobrzało tak dalece, że mógł nareszcie odziać się i siako tako ręką władać. Grużewski zaraz po pierwszej próbie rwał się z komnatki, zapewniając cyrulika, iż żadnego bólu nie uczuwa. Ten jednak-

że snadź się sprzeniewierzył Juliuszowi, bo nim tenże, po odejściu cyrulika, do wyjścia się przysposobił, pokojowiec pałacowy zjawił się z oświadczeniem, iż pani podkomorzyna prosi, aby chory jeszcze dzień pozostał u siebie.

Grużewskiego bezsilna pasya zdjęła, lecz rady nie było, musiał poddać się życzeniu podkomorzyny.

A tu, po kilku dniach dżdżu i wichury, słońce rozerwało płachtę chmur i, jakby na przekór, zapraszało do wyjścia.

Juliusz usiadł przy oknie i poglądał gniewnie na drogę, która wiała się tuż od podjazdu pałacowego i szła ku woddali położonej bramie parkowej.

Naraz poza odartym napoły z liści klombem bzu mignęły mu dwie sylwetki.

Grużewski zapatrzył się ku sylwetkom baczniej, ile że zdawało mu się, że kapitańskie epolety dostrzegł, lecz równocześnie prawie z za klombu wysunęła się barczysta, przysadzista postać jakiegoś generała, kryjąc przed Grużewskim swemi potężnymi rozmiarami idącą obok osobę.

Juliusz pochylił się i wskoś spojrział.

Osoba, która chroniła się za generałem, snadź przeczuła, że z tej nowej pozycji Grużewski ją do sięgnie, bo naraz kroku przyśpieszyła i w całość ukazała się pełni...

Była to Emilia.

Juliusz głowę do szyby przycisnął, aby ani jednego ruchu nie uronić.

Emilia, mając za towarzysza generała, szła ku furcie parkowej.

I Grużewski widział ich, jak, pochłonięci jakąś niezwykle zajmującą rozmową, przystawali oboje, widział, jak po replice hrabianki generał kłonił się posuwiście a zamaszystym ruchem bokobrody targał i znaczącym odpowiadał wyrazem, bo głowa Emilii chyliła się wdzięcznie ku ziemi, niby gorętszym komplementem zaskoczona. Niekiedy generała zapał zdejmował, bo wyciągał ręce, zawijał niemi i jakby garściami dowodów pod nogi Emilii rzucał, niekiedy rączka

Emilii zakreślała łuk w powietrzu od dali widnokregu, który jedną stroną poza Dźwinę sięgał, aż pod strop niebieski, jakby tarczę słońca i najodleglejsze przezrocza biorąc na świadki.

Aż kształtna postać hrabianki znikła w otwartej furcie, aż czerwony lampas na furażerce generała lysnął szyderczo ku Juliuszowi z głębi parkowej.

Grużewski stał jeszcze bez ruchu, z zapartym oddechem, jeszcze wzrok wyteżał, jeszcze nim ścigać chciał.

Niebieska barwa hajduka, który z szalem za hrabianką postępował, wypełniła otwór furty.

Juliuszowi w oczach się zacięmiło. Ku odzieniu się rzucił i do wyjścia zaczął się sposobić gorączkowo.

Musi pójść, musi zobaczyć ich razem, musi się napaść ich widokiem. Boć to on, on niezawodnie! O nim mówiła piastunka! On ma ziścić ambicye hardej dziedziczki.

Śmiech pusty zdjął Juliusza i jakby swem gryzącem echem przeciwko jemu samemu się zwrócił, bo opamiętał go, zastanowił, czy ubezwładnił tylko, poraził.

Maszże iść tam, za nimi? Maszże prawo iść? Maszże prawo za złe im poczytywać, że się ku sobie skłaniają, że rachuba ich kojarzy? Jest obcym w tym domu, jest obojętnym przechodniem. Przypadek go tu sprowadził. Łaska wość pospolita ofiarowała mu gościnę. Ani tu jechał, ani wiedział o istnieniu hrabianki. I cóż... jutro, pojutrze odjedzie, w inną ruszy stronę, ledwie nikłe wyniesie wspomnienie...

Jemu nic, nic zgoła do nich i do niej.

A jeżeli, jeżeli go rozgoryczenie zdejmuje, jeżeli żalność udręczyła go w pierwszej chwili, to raczej dlatego, iż nie tak wyobraził sobie Emilię, iż zbyt pochopnie Werculina o złość pomówił, iż nie przypuszczał, aby magnacki dom, aby siedziba tak znacznego rodu mogła być polem zalotów dla dyneburgskich oficerów.

MARZYCIEL.

19

Józio, nie słuchając więcej, poleciał do domu i, przebrawszy się w długie buty i kożuszek, odezwał się do zdziwionej Frani:

— Jadę na linię, wrócę może dopiero nad ranem.

Rzuciła mu się na szyję z żalosną skargą:

— Znowu będę sama!

— Już ci się sprzyrzyło! Muszę jechać do zasypanego pociągu, muszę...

— I boję się, bo ta gruba z dołu zrobiła mi straszną awanturę.

— Tutaj, w mieszkaniu?

— Nie, ale spotkała mnie na schodach i tak mi nawymyślała, że wstyd powtarzać. Nie daruję tej torbie... i jak mnie jeszcze raz zaczepi, to jej wleżę na pysk! Nie dam się krzywdzić takiej małpie! Wiem, o co jej chodzi, ona zazdrośna o pana!

— Masz, babo, kaftan! jeszcze tego brakowało!

— Naprawdę, ona ma apetyt na pana.

— Zruć ją ze schodów, to się nieco utemperuje!

— Już ona mnie popamięta! Wielka mi pani! służyła za bonę u zwiadowcy, a teraz zadziera nosa, jak jaka naczelnikowa. Flejtuch jeden, aż śmierdzi z brudu, kiecki ma z farfocłami, a będzie mną pomiatała! Maszyniścina, figura, nie przystępuj bez kija! Ja też sroce z pod ogona nie wypadłam! Upasła się na męzowskim chlebie, jak maciora, to swędzi ją kałdun i chciałyby poromansować!

Wykrzykiwała beładnie a coraz zaciekłej.

Ucałował ją, uspokoił, jak mógł, i jeszcze ze schodów zawołał:

— Tylko nie rób hecy, to w sobotę pojedziemy na bibę do Mikada.

— Co? Naprawdę?—wołała, radośnie wybiegając za nim.

Ale już poleciał i, jakby nie spozostregając pani Zofii, czyhajacej w uchylonych drzwiach, wypadł śpiesznie na drogę i przekopawszy się przez zasypanie do peronu, skoczył na maszynę, oczekującą już tylko

na niego; druga, z brankardem, pełnym żywności, zapasowych łopat i ludzi, miała wyruszyć w jej ślady.

— Jazda, panowie!—zawołał, wietając się z mechanikami.

Maszyna poderwała się z miejsca, jak ptak, i całą siłą pary runęła w zawieję: z pod kół trysnęły śnieżne fontanny i podniósł się skłębiony tuman. Popędzili z przysuwającym świstem, rozbijając w puch wszystkie zasy i groble, ale zaraz za stacją zwałił się na nich huragan całym stadem wichrów, porwał ich tysiącami rozszalałych szponów i rzucił w przerażający wir, jakby na samo dno burzy. w chaos konwulsyjnych miotów, szamotań, wrzaskliwych jęków. Co chwila, niby tarany, biły w nich potwornie wzdęte kłębowiska; co chwila podnosiły się ze wszystkich stron zwichrzone, groźne tabuny białawych fal, zalewając ich sypkim, lodowatym wrzątkiem; co chwila uderzały wichry, wyżerały oczy, smagały po twarzach, zapierały oddech, szamotały się z maszyną i goniły ją z rozwścieklonym skowytom, ale stalowy potwór pędził niepowstrzymanie, błyskał krwawymi ślepiami latarni, toczył śnieżną pianę z kół i tłoków, i z krótkim, głuchym warkotem leciał, jak kula, skrósł zamieci wyjącej, niby stado głodnych wilków, skrósł skłębionych śnieżyc i skrósł szaleństwa, przewalającego się z dzikim rykiem po świecie.

— Zdrowo sypiemy, co?—krzyknął Józioowi maszynista.

Wichura wepchnęła mu odpowiedź do gardła—zakrzuszył się tylko i siedział skulony na tendrze, brodząc niespokojnymi oczami po skołtunionej rozwiei. Pomocnik maszynisty co pewien czas otwierał szybry pieca i walił węgle w ognistą paszczę, buchającą krwawymi brzaškami, że niby w łunie krateru migotały nad plantem jakieś chałupy, zasypane po dachy, i jakieś drzewa, szarpiące się rozpaczliwie, ale skoro szcęknęły zatraskiwane szybry, wszystko przepadało, jak majaczenia—i znowu lecieli przez sza-

rawą, nieskończoną noc, przez skołtunione przestrzenie, gwałtownie uciekające w tył, i przez wzburzone do dna morze śniegów, szumiących spiętrzonemi falami, że już nie było nieba ni ziemi, a tylko szarawy wał kotłujący się z wyciem jakby w niezgłębionej otchłani wulkanu.

Maszyna jęczała coraz ciężej, i mgławiej już połyskiwały krwawe ślepie latarni, chrypnął nieustanny świst, a niekiedy koła zgrzytały jakby po piasku, dygotały żelazne ściany i spracowane tłoki piszczały żałośnie, tylko maszynista, jakby odlany ze spiżu, siedział nieruchomo z ręką na korbie, wpatrzony w nieprzenikloną dal, spokojny i czujny, baczący na manometr i na każdy zakręt drogi, na każdy jej spadek i wzniesienie, wciąż pędził całą siłą pary, a tylko niekiedy zwalniał bieg, jakby zbierając siły, i rzucał się gwałtownie na większe zasy, leżące wpoprzek szyn, rozdzierał je aż do dna, tratował na śmierć i uciekał jakby przed wściekłością burzy, miotającej się z coraz większym szaleństwem.

— Psiakrew, możemy się wyspać do rowu!—zawołał w jakimś miejscu, gdy maszyna uderzała już, jak taranem, w puszyste zwały śniegów, przekopując się z niezmiernym wysiłkiem przez jakiś przekop, zasypany po wręby. Gdzieś zoddali przedarł się długi, przeciągły świst maszyny, idącej za nimi, ale nie podobna było nic dojrzeć, a świsty zrywały się krótkie, nawołujące, rozpaczliwe i umilkły zgłuszone rykiem burzy.

— Jeżeli Soczek uwiązł, to po stoi do rana!—krzyknął maszynista i, przedarłszy się z przekopu na wysoki nasyp, popędził całą siłą, przeleciał, jak grzmot, długi, okratowany most i zwolnił dopiero pod lasami, gdzie wprawdzie wicher był znacznie mniejszy, ale śniegi leżały grubszą, puszystszą warstwą i jeszcze bardziej kurzyło.

DCN.

Fragment z dramatu „GIŻANKA”.

Końcówce sceny aktu drugiego. Alechmik Twardowski przybywa na dwór Zygmunta Augusta, który w rozpacznej tęsknocie po śmierci Barbary, dając wiarę wieściom, głoszonym o Twardowskim-czarodzieju, żąda od tegoż wywołania zjawy zmarłej królowej.

Twardowski wespół z Górką Andrzejem i z Faustem Socynem, członkami Jednoty Braci Czeskich, pragnąc uzyskać orędownictwo królewskie dla Jednoty, obronę przed prześladowaniem, którego ofiarą padł świeżo senior Jednoty Czeskiej, Piotr Giza, postanawiają, aby suplikę doręczyła królowi córka zamordowanego Gizy, Barbara, niezwykle podobna do nieboszczyki królowej.

Fakt podany poniżej, jest genezą legendy o wywołaniu przez Twardowskiego zza świątów ducha Barbary Radziwiłłówny.

Na scenie są: Stańczyk i Twardowski, ubrany z cudzoziemska, całkiem czarno. W średnim wieku mąż, Twarz ostra, chmurna, oczy, głęboko osadzone, wąż długi, opuszczający się.

TWARDOWSKI.

Gdzie król jegomość?

STAŃCZYK (podchodząc k'niemu).

Z kim mam cześć?

TWARDOWSKI.

Toć widzisz, że nie z błaznem!

STAŃCZYK.

Stary-m... słabe mam oczy — trudno dopatrzeć stanu i godności!

TWARDOWSKI.

Wecowany twój język chrońna inny użytek... na mnie nie probuj ostrza, bo dogryziesz się szczyrby!..

STAŃCZYK.

Twardziście tacy?..

TWARDOWSKI (do Ludwika).

Ty kto?..

LUDWIK.

Lutniarz królewski.

TWARDOWSKI.

Miałem się stawić przed króla — a błazen mnie spotyka i głupstwa baje...!

STAŃCZYK.

Bywają głupstwa różne, i korne, i harde; bywają głupstwa miękkie, bywają i „twarde”.

Przez głupstwa można czasem duże czyny [sprawić... zaśl także potknąć... upaść i nochal rozkrwawić.

TWARDOWSKI.

Cięliście sprawnie... Czekajcie-no stary!.. Tyś Stańczyk?

STAŃCZYK.

Ten sam!

TWARDOWSKI.

Nie bądźcie mi krzywi... Długo... długo przebyłem od Polszczy Kiedyś... dawno... przed laty... [zdaleka. za życia starego króla... młodszy was widziałem... Sam wtedy byłem smykiem!

STAŃCZYK.

Już się to przeżyło!..

TWARDOWSKI.

Barwnie i gwarno było na Wawelskim grodzie... Dźwigano w górę dzwon... Szedł spiż dumnie wwyż

na swoje gniazdo orle— a kiedy zwiśł i zagrał, to mi się zdało, że niebiosza grały!.. Zakolebała się ziemia!.. Zdało mi się, że nagle z chłopięcia mężem się stałem! że stary król i ludu stany, i ów zbroisty huf, co koło króla stał, z kamienia, na podziw ludów wykuci... taką moc spiż ten w swoim granu miał!

STAŃCZYK.

Dziś te spiżowe dźwięki wespół z luteńką (wskazując lutnistę) & tego gołowasa dają li wtór albo kochliwej pieśni, albo załośnym kochleniom...

TWARDOWSKI.

I bujny dębczak, co wyrósł z zacnego nasienia, owiędnąć może w opłotach powoju...

ZMIANA.

Ciż i Faust Socyn.

SOCYN (wchodząc, do Twardowskiego). Witajcie! Ponoście przyśli nie sami?

TWARDOWSKI (chłodno, niechętnie). Przybywam na wezwanie króla jegomości i jemu się ino opowiadać będę...

SOCYN.

Nie chciałem was urażać... ale czy pytać zasie, coście przynieśli na zaspokojenie królewskiego żądania?

TWARDOWSKI (zimno).

Rozstajne nasze drogi... Wasza droga na lewo—moja zaś na prawo... Co gadać po próżnicy będziemy... Jeszczeby was wykłeto za rozliwory ze mną!

SOCYN.

Jać was przywołałem.

TWARDOWSKI (opryskliwie).

Bo wam nakazano!..

STAŃCZYK (do lutnisty).

Wydź ino stąd, młokosie!

(do Twardowskiego).

Jako mi się zdaje, coś macie ku sobie...

Nie chcę wadzić... wychodzę, byście pogadać mogli bez żadnej przeszkody,

TWARDOWSKI (do Stańczyka).

Nim królowi powiecie sami, czy przez kogo, żem przyszedł, chciałbym się widzieć przedtem z panem Górką...

STAŃCZYK.

Toć przecie nie trudno Górkę upatrzeć...

Jeśli jest on na zamku, wnet go tu przywiodę.

(Stańczyk wychodzi.)

SOCYN.

Skorzyście w sądzie, panie Twardowski...

Człek winien dobre mieć oko, by nie pobłądził w widzeniu...

TWARDOWSKI.

Choćbym miał wzrok zaćmiony, węchem poczuję klechę...

SOCYN.

Rzekliście?

TWARDOWSKI.

Rzekłem!

SOCYN.

Jeżeli wasze oczy i wasz węż szwankują, może słuch macie zdrowy (półgłosem)

„Fratres unitatis”.

TWARDOWSKI.

Ktoście wy, ojce?

SOCYN.

Prawdy jestem sługą... Zwią mnie w Jednocie Socynem... Wczoraj się uitałem rozmyślnie przed wami, bo mi ogłoszono o was wieści niepocholebne, jako szalbierstwem tumanicie ludzi, zowiąc się mistrzem kłamnej magów mocy! Dziś o was wiem już prawdę..

TWARDOWSKI.

Nie miejcie urazy, żem był oburkliwy... alem poruszony, przyszedł tu do trzewi... Zali wam już wiadomo, dzisiejszej nocy znów skrytobójców ręka zgasiła prawy żywot zacnego człowieka?

SOCYN.

Kogoż dosięgli zbójce?

ZMIANA.

Ciż i Andrzej Górka.

GÓRKA.

Aaa... Jużeście się zeszl... No to dziękować Bogu...

SOCYN.

Właśnie usłyszałem żałobne dla nas wieści... Ktoś z naszych legł, morderców dosięgnięty [bronią...]

GÓRKA.

Przez Chrystusa, dość tego! Chcą wojny—będzie wojna! Chwycim się za bary!.. Co prawe i co zdrowe musi odnieść victorię nad tem, co już zbutwiało... Kto zabił?..

TWARDOWSKI.

Giza!..

(Górka i Socyn przerażeni).

Wczorajszym wieczorem pachowały uzbrojone żarżnęli bezbronnego, gdy się kładł na [spanie]

GÓRKA.

Toć zbrodnia niesłychana!

Coście postanowili?..

TWARDOWSKI.

Kanonik Orzechowski pisał do mnie wczoraj, bym przyszedł doń bez zwłoki...

Już po kołatkach na ogniów gaszenie wszedłem do miasta przez Floryańską bramę.

Było już na ulicach i pusto, i ciemno, czasami ino mięsiąc przeglądał z za chmury.

Znagła w zaułku krętym ujrzałem postać niewiasty,

leżącej na ziemi, zaś przy niej kłęczące pachole,

Podszedłem do niej i w blasku mięsiąca ujrzałem przed sobą przedziwną zjawę: Nieboszczykę królowę... Radziwiłłównę!

GÓRKA.

Jako?

SOCYN.

Coście wy rzekli?..

TWARDOWSKI.

Młokosa, co kłęczał przy onej niewieście, dziś... tutaj... na zamku poznałem... to był lutniarz królewski.

SOCYN.

Mówcie nam, przez Boga!

któ zacz niewiasta owa,

bo się móz w głowie mąci!

TWARDOWSKI.

Żyjąca skarga na krew przelaną...

Jedyna córka ubitego Gizy!

GÓRKA.

A coście o Barbarze... królowej gadali?

TWARDOWSKI.
Nigdy burza dwóch kropel podobniejszych
nie zrodziła wśród zlew, [wody
jako jest podobna dziewka owa do zmarłej
przed czasem królowej...
W tem dziwnem wydarzeniu
Widne wyroki Boga!

GÓRKA.
Co zamierzacie czynić?
TWARDOWSKI.

Gdybyśmy wszyscy spolem—
przyszli ze skargą i z płaczem do tronu
na krzywdy nasze srogie,
to w słabym królu
niedoli naszej jęk
mocy uśpionej nie zbudzi...
Ale gdy poda królowi suplikę
wabna niewiasta,
co mu przed oczy jeszcze przywoła
raj utracony...
przez tę podniętą krew Jagiellonów
w nim zagra...
Zaś bez królewskiej opieki—
wy nawet, panie Górko, zuchwały
choć macie dostojnika władzę
i z boku kord hartowny,
nie dacie gwałtem skrytobójców rady.

SOCYN.
Gdzież jest ta dziewczyna?
TWARDOWSKI.

W przyległej komnacie... (wychodzi)
SOCYN.

By ino nie pobłądzić w tem, co on zamierza.
GÓRKA.

O nie!.. nie!.. Znam ja króla!
Byle go tylko ocknąć—prajcowską wolą
umie być władnym...
Tuć przecie nic złego
niema w tem przedsięwzięciu...
Przec pono ży sieroce
i kamienie poruszyć zdolają!

ZMIANA.
Ciż i Giżanka.

TWARDOWSKI (wprowadza Giżankę—
ubrana czarno—zawitkę ma na twarzy)
Odrzuć zawitkę!.. Jesteś między swymi...
GIŻANKA (odstania twarz)

GÓRKA.
Zapaść się w ziemię można!
Jakoweż zmianienie!

GIŻANKA.
Gdzie mój rodzic? Wiedźcie mnie do niego!
TWARDOWSKI.

Spokojną bądź...
GIŻANKA.

Mój rodzic!
Gdzież on jest... przez litość... miłosierdzie—
SOCYN.

Bądź mężną, dziewczyno... i wezwij w pomoc
Twój ojciec ranion srodze! [Boga,
GIŻANKA.

Toć ja sama wiem o tem...
Przy mnie go rąbano...
a może on już zabity?.. Może on nie żyje?
TWARDOWSKI.

Ranion jest ino...
Posłuchaj niebogo!..
Ty go widzieć nie możesz —
on sam nie chce tego.

GIŻANKA.
Dla jakowej przyczyny?
TWARDOWSKI.

Aby znów w ręce wroga nie popadł po-
Skryt on należycie. [wtórnice.
GIŻANKA.

A wyście co za jedni?
Skąd wasza opieka?
Skąd mam wierzyć,
że wyście druhowie, nie wrogowie!

TWARDOWSKI.
Jam się nocą ocaliłem od zguby niechybnej...
skryłem cię przed pogonią...

SOCYN.
Jam kapłan...
GÓRKA (dumnie).

Jestem Górka!..
GIŻANKA.
Kiedyście mi druhowie, wiedźcie do rodzica.

TWARDOWSKI.
Ojciec w niemocy leży...
Ma on zbyt silnych wojarów,
byś z nimi mogła wojować,
póki silniejszej od nas
nie zyszczesz opieki...

GIŻANKA.
Zatem dajcie mi radę...
co czynić, by dla ojca zyskać bezpieczeństwo?
TWARDOWSKI.

Jesteś w komnatach króla...
GIŻANKA (trwożliwie).
Króla?

TWARDOWSKI.
Posłuchaj mej rady...
Ukryta będziesz za oną kotarą,
zaś kiedy cię odsłonię,
podasz, na klęczkach będąc,
królowi tę suplikę...

(Daje jej zwój, który wyjął z za sukni).
GIŻANKA.
Uczynię, co chcecie...

TWARDOWSKI (wyprowadza Giżankę
za kotarę).

GÓRKA.
Kości rzucone! (Wbiega Stańczyk).
ZMIANA.

Ciż—Stańczyk—później Zygmunt.
STAŃCZYK.

Król jegomość nadchodzi...
GÓRKA (podchodzi do kotary, uchyla
ją i mówi do znajdujących się tam Twar-
dowskiego i Giżanki).

Król jegomość nadchodzi...
TWARDOWSKI (wchodzi z za kotary
i staje przy niej).

ZYGMUNT.
(Prawie wbiega — wszyscy skłaniają
się. Zygmunt przypatruje się badawczo
Twardowskiemu — potem siada w karle
i mówi do Twardowskiego)

Znasz-że moje żądania?..
Spełnić żeś ich w sile?..

TWARDOWSKI.
Kłamiwe baśnie o mnie prawią,
Miłośnicy panie, zowiąc mnie mistrzem,
co w ciemnie wdaje się praktyki...

ZYGMUNT.
Ponoś mistrzem alchemii...
TWARDOWSKI.

Tak zwą tę naukę,
co każe badać tajnie wszechwielkiej przy-
[rody...

ZYGMUNT.
A cóż alchemia o śmierci ci mówi?

TWARDOWSKI.
Chcąc wiedzieć, co śmierć znaczy...
trza wprzódź znać, co życie—
ta potęga tajemna, co daje ruch... ciepło,
co sprawia krwi krążenie
i daje zmysłów świadomość...

ZYGMUNT.
Gdzieś szukał i coś znalazł?..

TWARDOWSKI.
Gdziem ino zoczył życie—szukałem światła.
Życie wszędzie istnieje, gdzie zwrócić
[spojrzenie,

Żyje człek... zwierz wszelaki... drzewa...
[kwiaty... zioła...

Żyje mech... ziarno zboża—i nawet kamienie,
Wszędy szukałem życia...
i różne praktyki czyniłem, by odnaleźć,
gdzie locum swe mieści...

ZYGMUNT.
Jakżeś badał zagadkę... jakimi sposoby?..

TWARDOWSKI.
Z ludźmi zbyt trudna sprawa,
tedy na zwierzętach wszelkim sposobem
[szukałem...

Raz sądziłem, że życie we krwi ma istnienie,
bo z krwią spływało... nikto...
ale tu-m zbłądził—bo krew ostawała,
a przez uderzenie śmierć brała we władanie
mych praktyk ofiarę...
Dym także śmierć sprowadza...
Geber... Avicoena... Roger i Valentinus
podają jadów czterdzieści,
którymi życie łatwo zgasić można...
Śmierć zadać każdy spotrafi—
lecz nikt nie odpowie,
w co się życie zamienia,
gdy trup stygnąć poczyna...

ZYGMUNT.
Ciekawie mi mówicie... a śmierć?..

TWARDOWSKI.
Pilnie i śmierć badałem... ino nadaremnie,
tu-m jeszcze mniej świadomy...
To orzec ino można,
że śmierć—to straszna chwila!..

I człowiek, i zwierzę,
i gad, i ptak wszelaki,
wszystko śmierci się trwoży
i różnych fortelów używa,
by choć jedną chwilę,
jedno mrugnienie oka—
życie przedłużyć
choć-by nawet wśród okrutnej męki
i nędzy, i niedoli, i bólów niemocy...

ZYGMUNT.
Tak straszna chwila i... niezapomniana,
a dreszczem trwoży wstrząsa—choć wiary
uczą i wierzyć każą, [kanony
że niebo... raj... nagrody,
to zwątpień wątek snuje się po głowie...
Żyć!

Pragnąć... kochać... boleć,
poruszać myślą świat z posady...
Walczyć bez końca z ludźmi i ze sobą...
Tytanem pragnąć być,
by potem gnąć
i cuchnąć!..

TWARDOWSKI.
A gdyby pachnąc wonnym kwiatem,
co na tych szczątkach człowieczych
bujnie wyrasta i strzela purpurą,
lub modrą barwą niebela
albo-li też białością,
i upojne wonie—wionie?

ZYGMUNT.
Jakież cudowne lilie,
białością niepokalaną lśniące,
rość winny na kurhanach
tych, co w kochaniu mrą!..
Ino, że często w lochy granitowe
składają drogie szczątki...
W lochy zimne,
gdzie ino ślizgła pleśń porasta!..
(po chwili milczenia)

Mości Twardowski!
Są wszakże na świecie magi czy czarodzieje,
co twierdzą niezłomnie,
iż ludzki duch
przyjmuje coś z tej powłoki,
jaką za życia nosił... i w tej postaci,
kto ma po temu naukę właściwą,
może zmywając zmarłego zjawienie?..

TWARDOWSKI.
Miłośnicy Panie!
W Gedyminowym prajców twych grodzie,
w grobnicy, kutej z kamienia,

na cichy... wieczysty spoczynek
 złożyliście swe umiłowanie, swą radość...
 przejaśną gwiazdę,
 co nocne pomroki słońca blaskami
 w wiosenny, wonny i kwietny dzień wam
 [zmieniała...
 Z dzwonów żałobnych ponurym dźwiękiem
 i z waszej duszy obolałej jękiem...
 w oblubienicy białem obleczeniu.
 samą klejnot—więc w blasku klejnotów,
 samą kwiat—więc wespół z kwiatami,
 złożyliście waszą ukochaną żonę,
 a naszą królową i panią,
 na sen spokojny i niezakłócony...
 Cobyście rzekli, Miłościwy panie,
 gdyby występna ręka złoczyńcy,
 żadna cennieści zdołających
 białe królowej łono,
 zerwała zawarcie truny
 i świętokradca zbezczescił zwłoki?

ZYGMUNT (*gwaltownie*).

Przestań!..

Przez rozszalałe żrebecie
 rwałbym w krwawe mięsa płaty!

TWARDOWSKI.

I taki winien być sąd sprawiedliwy
 bo to jest zbrodnia zbrodni,
 choć ino gwałt to przecie
 nad człeka prochem... szczątkami,
 co kiedyś... kiedyś po świecie
 rozwiane będą przyszłości wichrami...
 Ale jest zbrodnia większa!..
 W człeku musi istnieć coś więcej, niżli
 ów niezbadany, a potężny „Duch”, [ciała...
 co nas ożywia, co daje myśl,
 daje koronę władania nad światem,
 daje ból, daje radość...
 i daje godność człowieczą,
 która nam aże z boskiego początku
 ród swój człowieczy pozwala wieść...
 Ten „Duch” istnieć musi!..
 Gdyby więc można było,
 czyli przez ukochanie kogoś, co ostał by sierocę
 czyli przez tęsknotę [ta sam,
 tych, co w sierotwie żalobnem ostali,
 „On” by nie spłynął w noc miesięczną k'nam
 ukoić w żalu, przynieść pocieszenie?...
 Widno nie można, Miłościwy panie,
 „Duchom” na ziemię zejść!
 Żaliż więc się godzi,
 choćby i miał kto taką władną moc,
 gwałcić tajemnych dla nas praw kanony?..
 ZYGMUNT.

Więc trzeba boleć —
 i w bóleniu schnąć beznadziejnie!!

TWARDOWSKI.

Dla żywych są leki w każdej dolegliwości..

ZYGMUNT.

Nie w mojej!..

TWARDOWSKI.

I w waszej, Miłościwy panie!

ZYGMUNT.

Miałbyś dla mnie lek?..

TWARDOWSKI

Mam!..

ZYGMUNT.

Mów!.. Jak się zowie?..

TWARDOWSKI.

Mówić wolno szczerze?..

ZYGMUNT.

Każę!..

TWARDOWSKI.

Czyn!

ZYGMUNT.

Ku temu trza mieć siłę...

TWARDOWSKI.

Macie ją w sobie, Miłościwy panie!..

Potęzną, jak grom!..

Jak grom—wasz dziad,

co gdy grzmiał,

to hufy niezliczone, zakute w stal,

u nóg swych kładł,

u nóg pokotem miał!..

Macie wy ową—Jagiełłową moc,

a chociaż uśpił ją ból,

jeśli raczycie—zechcecie,

wnet zbudzić ją możecie

bez trudu!

A trza już, Miłościwy panie!

Już na to srogi czas!

ZYGMUNT.

Mów!

TWARDOWSKI.

Na bożym świecie budzić się poczyna

olbrzymia, wielka moc,

„Myśl ludzka—wolna”.

Prawdę wziął człek za orędzie

i walczy aż do ostatniego tchu...
 a chociaż krwi potoki
 przemoc gnuśna i zła leje na ogień święty,
 aby ugasić go,
 Znic ten, co od stworzenia świata
 w piersi człowieka tlił — dziś rozlał się
 i taką ma łuny zorzę, [w zarzewie
 że świat się cały, by od drugiego słońca,

od jej blasków łśni...
 a ludzkość,
 jak przed wiekami Synowi Bożemu,
 woła tej zorzy „Hosanna”!
 Potężny wasz „Duch”, Miłościwy panie,
 jest wolnej myśli człeka, niby siostrze, brat!
 Gdy z innych tronów na wyzwolenstwo czło-
 anathemy brzmią, [wiecznego ducha
 gdy w innych dzierzawach zorza wyzwolenia
 zlewa się z łuną męczeńskich stosów,
 Wy na oścież wierzeje praojców stolicy
 kazaliście otworzyć dla prawdy apostołstwa!
 Jak przed jastrzębiem psikłętą,
 pod skrzydła wasze szli,
 wierząc w was, panie,
 i w waszą moc, i w swoje bezpieczeństwo!..
 Ale tak nie jest, bo wasza moc spił!..
 ZYGMUNT.

Mów!.. bo mnie coś dławi,
 bo ręka rwie się do korda,
 bo drgam, jak w zimnicy,
 choć piecesz, by rozpalonem żelazem!

TWARDOWSKI.

Wały praojców twych siedziby
 krwią ofiar niewinnych zroszone!
 Daleś królewską opiekę w porękę,
 a z twej opieki pałace drwią
 i pod twym bokiem—na urągawisko —
 skrapiają progi twego domu krwią!
 Płacz wdowi, płacz sierocy
 wiatr niesie echem w niebiosą,
 gdzie duch twej Barbary
 jeżeli czuje i widzi,—to płacze gorzką łzą
 nad tą niedolą naszą!
 Zbudź się z uśpiania, Jagiełłowa mocy!
 i stań się przeciw zbrodni i przemoc
 obronnym murem
 i przyjmij sierot gnębionych suplikę!
 ZYGMUNT.

Klnę się pamięcią szczęścia!..

klnę się bólem tęsknoty!..

klnę się praojców imieniem,

że będę stać przed wami!

Oskarżaj winnych!..

TWARDOWSKI.

Lepiej wam w ucho wpadną jęki i żal sierocy...
 (*Odstania makate, za którą widać*
Giżankę kłęczącą, trzymającą w ręce, wy-
ciągniętej ku królowi, zwój pergaminu).

ZYGMUNT (*rzuca się ku Giżance*
z okrzykiem).

Barbara!..

KONIEC.

Robert Hichens.

OGRÓD ALLAHA.

Przekład z angielskiego.

21

Wskazał ręką — i na prawym skraju oazy Domini ujrzała szare i ciche wody. Palmy wchodziły w nie, łagodnie przez nie opływane. Na łonie ich tu i owdzie wznosiły się drobne, ciemne wysepki. Tak, były to wody i nadto jeszcze — Tajemnica ich była tajemnicą, której nigdy jeszcze nie spotkała, nawet nad białymi północnymi morzami o zmroku zimowych godzin. Była ona głębszą, niżli tajemnica weneckich *laguna morta* w chwili, gdy dzwonek na Anioł Pański dźwięczy o zachodzie i gdy każda łódź odległa, każdy przewoźnik pochylony i rybak cierpliwy stają się cudem, rzeczą w złocie odlaną.

— Czyżby to miraż? — rzekła do siebie prawie szeptem.

I naraz zadrzała.

— Tak, to musi być miraż.

On nic nie rzekł. Lewa jego ręka, trzymająca uzdę, opadła na łak siodła i patrzył poprzez obszar, naprzód wychylony i poruszając wargami. Domini patrzyła na niego i zapomniła nawet o fatamorganie, tak ją zdjęła raptowna tęsknota zrozumienia dokładnego, co on czuł w tej chwili. Tajemnica jego — tajemnica tego, co jest ludzkie i co wiecznie wyciąga ramiona — była jakby rozplynioną tajemnicą mirażu i zdała się w tej chwili spływać z tajemnicą, o której wiedzia-

ła, że w niej teraz gości. Mira był w nich, tak jak był daleko przed nimi w pustyni, cichy, szary, pełny napewno ruchu nieodróżnianego i nawet być może dźwięku, którego nie mogli słyszeć.

Wreszcie on odwrócił się i spojrział na nią.

— Tak, to musi być miraż — rzekł. — Nic, które zdaje się być tak bardzo czemś. Człek idzie w pustynię i znajduje tam miraż. Wędruje naprost i oto, co osiąga — a nawet zgoda nie może tego sięgnąć, tylko widzi to zdaleka. I to jest wszystko. Zali to samo człek znajduje, gdy idzie do świata?

Pierwszy to raz mówił bez